

Anna TRUSKOLASKA

„Pewnie są jeszcze gdzieś spokojne kraje i rozumni ludzie, którym nieobca miłość Boża. Jeżeli nawet Bóg opuścił tę nieszczęsną kasabę nad Driną, to chyba nie cały świat i wszystkie ziemie pod słońcem?”

Ivo Andrić, *Most na Drinie*¹

WRÓCIĆ CHOĆBY NA POGORZELISKO

Tylko dzieci brykają jak zwykle dzieci, chodzą do szkoły, kłócą się i śmieją. Życie dorosłych jakby zatrzymało się. Nie biegną do pracy, nie chodzą na zakupy. Kobiety robią czasem przepierkę, mężczyźni grają w domino, drzemią, niektórzy piją.

W domu azylanta przy ulicy Wrońskiej w Lublinie – czekają. Czekają, kiedy skończy się wojna, czekają na odpowiedź z Warszawy. Mają dużo czasu do myślenia. O czym myśli ta kobieta, która siedzi po turecku na krześle i patrzy na wyszczerbioną płytkę PCV. I zdaje się nie widzieć galopujących przez korytarz dzieciaków ani nie słyszeć awantury piętro niżej. Patrzy na tę płytkę i lekko się kołysze.

Idę przez piętro muzułmańskie, niektóre drzwi są uchylone. Jest tu czysto i jakoś całkiem tymczasowo. Wchodzę z tłumaczem do jednego z pokoi. Buty rzędem koło drzwi. Na podłodze koc. Starsza kobieta, jej syn, może dwudziestoletni i siedmioletni Jasmin. Wyjechali z domów w maju ubiegłego roku: ten mały jest bez rodziców, zostali w Sarajewie. A w Goraźde został jej mąż.

„Wojna, może właśnie ginie. Tam jedno wielkie morderstwo. Wszyscy się boją, więc każdy walczy. Mamy po każdej stronie swoich. Wszystko zniszczone, Zachód się przygląda...” Tak mówi kobieta i krople płyną po jej twarzy znajomymi bruzdami.

Gdybym przez piętro muzułmańskie szła nocą, usłyszałabym zza którychś drzwi krzyk. To sen o czetnikach, co obcinają głowy.

WEDLE LITERY PRAWA

Uchodźcą jest osoba, która „na skutek uzasadnionej obawy przed prześladowaniami z powodu swej rasy, religii, narodowości, przynależności do okre-

¹ I. Andrić, *Most na Drinie*, Warszawa 1985, s. 316.

ślonej grupy społecznej lub z powodu przekonań politycznych przebywa poza granicami państwa, którego jest obywatelem i nie może lub nie chce z powodu tych obaw powrócić do tego państwa". Tak określa uchodźcę Konwencja Genewska z roku 1951. Formalnie zasadę tę uznano w Polsce we wrześniu 1991 roku, kiedy prezydent RP ratyfikował Konwencję.

Do roku 1989 prawo azylu w Polsce regulowane było 88 art. Konstytucji PRL: prawo azylu może być udzielone cudzoziemcom „prześladowanym za obronę interesów mas pracujących, walkę o postęp społeczny, działalność w obronie pokoju, walkę narodowowyzwoleńczą lub działalność naukową”. Już sam styl propagandy „lat minionych” tego sformułowania określał możliwości azylu w Polsce.

Zmiany nastąpiły od razu w '89 roku. Fakty wyprzedziły uregulowania prawne i w dwuletnim okresie pustki legislacyjnej Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, którego obowiązkiem było załatwiać te sprawy, wspierało się rozporządzeniami, ustaleniami i zarządzeniami. W rzeczywistości respektowały one Konwencję z roku 1951.

Dokument ten określa obowiązki i prawa uchodźcy. Zasadniczym jego obowiązkiem jest przestrzeganie praw i przepisów państwa, na terenie którego znalazł schronienie. Natomiast państwo to gwarantuje mu dostęp do sądów i równość wobec prawa, wolność praktyk religijnych, a także niedopuszczalność dyskryminacji, w tym również zakaz wydalenia. Inne postanowienia konwencji dotyczące świadczeń socjalno-bytowych, dostępu do rynku pracy i do szkolnictwa mają charakter obligatoryjny. Realizacja tych deklaracji zależna jest od sytuacji państwa, w którym uchodźca się znalazł.

W Polsce opieką otoczony jest przybysz, który zadeklarował chęć otrzymania statusu uchodźcy. W czasie trwania procedury może otrzymać miejsce w ośrodku dla uchodźców, wyżywienie i niewielkie kieszonkowe. Zapewniona ma opiekę lekarską. Dzieci mogą chodzić do szkoły. Jeśli przybysz znajdzie pracę, może ją podjąć nawet w trakcie trwania procedury, za specjalnym zezwoleniem Wojewódzkiego Biura Pracy.

Liczba uchodźców w świecie wzrasta. W roku 1980 było ich 11 milionów, w 1993 – 18 milionów. (Są to dane niepełne, obejmujące ludzi emigrujących poza granice swego kraju i zarejestrowanych. Istnieje pojęcie uchodźcy wewnętrznego, który musi opuścić swe miejsce zamieszkania, lecz nie przekracza granic państwa). Według sprawozdania Wysokiego Komisarza do Spraw Uchodźców przy ONZ za rok 1992 w Azji było ich 7 milionów, w Afryce 5 milionów, w Europie 4 miliony, w Ameryce Północnej milion. Krajem europejskim najbardziej obciążonym napływem uchodźców były Niemcy. Tylko od stycznia do końca sierpnia ubiegłego roku przybyły do tego kraju 259.193 osoby i wydano w tym czasie 343 tys. decyzji.

W Polsce przebywało w 1992 roku 2.700 osób. W roku ubiegłym półtora tysiąca, obecnie jest ich 800.

Początkowo ośrodki dla uciekinierów prowadził PCK. W połowie ubiegłego roku brakło mu pieniędzy. Ośrodkami zajęło się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Do jego obowiązków należy przeprowadzenie procedury dotyczącej osób starających się o status uchodźców; tylko one mogą znaleźć miejsce w ośrodkach. Pozostają na utrzymaniu RP do czasu decyzji MSW odnośnie do przyznania (bądź odmowy) statusu uchodźcy. Dlatego niektórzy byli pensjonariusze ośrodków PCK chcąc pozostać w tzw. domach azylanta złożyli wnioski o udzielenie im statusu uchodźcy. Są to głównie przybysze z byłej Jugosławii, a także Ormianie. Obywatele z WNP, Bułgarzy i Rumuni nie starają się o azyl.

HOTEL NA WROŃSKIEJ

Ośrodek dla uchodźców w Lublinie mieści się przy ulicy Wrońskiej 5 D. Jest to budynek na tyłach Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów, w dni deszczowe i słotne radzę tam wybrać się w gumowcach lub samochodem o mocnych resorach. Literka „D” przy numerze domu oznacza, że sąsiaduje z piętrowymi barakami A, B i C. W barakach tych części szyb brakuje, okna zasłonięte dyktami. Tynk odpada. Gnieźdzą się tu ludzie, którzy z różnych przyczyn nie mają lepszego mieszkania. Nie trzeba być tubylcem, żeby domyślić się, że policja zna ten zakątek. Czteropiętrowy budynek „D” zajmowany był do marca '93 roku przez policyjne oddziały prewencji. Wiosną mieszkańcy opuścili hotel. Pozostawili powypalane podłogi i powybijane szyby. (O meblach nie zbierałam informacji). Jesienią Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wykupiło od właściciela hotelu, Przedsiębiorstwa Usług Mieszkaniowych i Socjalnych, miejsca hotelowe. Płaci 3 miliony miesięcznie od osoby. Doba pobytu – 100 tys. zł.: 30 tys. za miejsce w pokoju 2-, 3-, 4-osobowym, 70 tys. za całodienne wyżywienie (z tego połowa wydawana jest na „wsad do kotła”).

Uchodźcy przyjechali na Wrońską jesienią w dwóch turach: w październiku – 77 osób i na przełomie listopada i grudnia – 79 osób. Opiekuje się nimi szef ośrodka – pani Małgorzata Trzcionkowska, która jest Pełnomocnikiem Biura d/s Migracji i Uchodźstwa przy MSW. Ma do pomocy pracownika socjalnego, tłumacza (który początkowo pracował społecznie) i pielęgniarkę. Małgorzata Trzcionkowska skończyła socjologię na KUL. Materiały do pracy magisterskiej o polskich uchodźcach zbierała w Rzymie w tamtejszym ośrodku. Obserwacje, jakie wtedy poczyniła, sprawiają, że obecnie pani Małgorzaty nic już nie zaskoczy. Problemów jest wiele każdego dnia, trzeba być cierpliwym i stanowczym, współczującym i odpornym. Różni przecież ludzie przyjechali do ośrodka: od niemowląt po staruszkę blisko stuletnią, ludzie po studiach i analfabeci, uciekinierzy i podejrzanе obywateli.

MECZET NISZCZYLI SERBOWIE Z TEJ SAMEJ ULICY...

Chłopiec z Bośni opowiadał w szkole, że w jednej z dużych przetwórni mięsa Serbowie używali na surowiec żywych Bośniaków. Jego kolega pokazuje mi zeszyt z powklejanymi zdjęciami z gazet, zeszyt podobny do tych, w których nastolatki kolekcjonują fotosy gwiazd. Wycinki z gazet młodego Bośniaka pokazują okrucieństwo Serbów: zbiorowe mogiły, sceny egzekucji, zbombardowane domy, dzieci rozerwane przez pociski.

Kiedy rozmawiam z Muzułmanami, unikam realiów wojennych. Nie moja to rzecz odnawiać w nich te wspomnienia. Nie moje zadanie opisywać to, co mass media tak dokładnie pokazują całemu światu. Pytam tylko, w jakich okolicznościach opuszczali swe domy.

Inżynier Džiko pochodzi z trzydziestotysięcznej Rogatycy położonej 50 km od granicy z Serbią. 4 maja '92 roku weszła do miasta grupa paramilitarna. Zaczęli strzelać, maltretować. Cała dzielnica spłonęła. Meczety niszczyli znajomi Serbowie z tej samej ulicy. Muzułmanie uciekać mogli „korytarzem” przez Serbię do Macedonii. Ojciec i matka przedostali się do oblężonego Goražde. On, razem z innymi, rok w Macedonii, ale tam było dosyć niepewnie w sąsiedztwie Grecji, Albanii, Serbii. Osiemdziesięcioosobowa grupa z Goražde, Rogatycy, Rudo, Čajniče dotarła w czerwcu '93 roku do Warszawy. Skierowano ich do ośrodka w Otwocku. Mieszkali na kempingu. Trzydzieścioro dzieci, ludzie w podeszłym wieku. Zaczynało być zimno. Dzieci nie chodziły do szkoły. 30 listopada dostali miejsce w Lublinie. Jest lepiej. Siedzą i czekają. Chcą do domu. Wojna się skończy. Dom spalony? – Zbudują drugi.

Mehrudin ma czternaście lat. W Polsce jest od roku. Mieszkał w ośrodku PCK w Zegrzynku, Pruszkowie, potem w Warszawie, teraz w Lublinie. Jest tu z matką, dwiema siostrami i szwagrem. Ojciec został w Bośni. Pochodzą z Brcka. „Okolo szóstej rano Serbowie wysadzili most na Sawie. Zaczęła się wojna. Myśmy akurat czekali na przystanku autobusowym. Części z tego mostu mogły obciąć głowę. Do ojca dzwonił dyrektor z jego fabryki, żeby się tata zgłosił, ale dyrektor jest Serbem. To zgłoszenie mogło się źle skończyć. Okolo dziesiątej wyjechaliśmy do Belgradu na jeden, dwa dni. Spotkaliśmy się z wujkiem i nie wróciliśmy już do Brcka. Razem pojechaliśmy do Macedonii. Po dwudziestu dniach – podróż do Turcji. W Istambule była piękna szkoła i świetny ośrodek. Ale po trzech miesiącach postanowiliśmy się dostać do Szwecji. Nie chcieli nas wpuścić, odesłali promem do Polski. Najważniejsze ze wszystkiego, że kilka tygodni temu mieliśmy wiadomość przez radio, że ojciec żyje! Do domu – niech tylko wojna się skończy”.

Do domu – powtarzają Bośniacy – choćby i na pogorzelisko. Polacy są dobrzy, oczywiście, ale – ich dom jest w Rogatycy, w Goražde, w Brcku.

Uciekinierami z byłej Jugosławii są też Serbowie, a raczej serbscy Romowie, czyli Cyganie. Nazwy tej jednak nie należy używać, gdyż Romowie uważają ją za obraźliwą.

Ci, z którymi rozmawiałam, do ojczyzny wracać nie chcą. W pokoju zastaję małżeństwo i czwórkę maleńkich dzieci. Najmłodsze urodzone już w Warszawie. Mężczyzna jest analfabetą. Dlaczego wyjechał? Bo nie chciał pójść do wojska. Wciąż ktoś z sąsiadów dostawał wezwanie. Więc wyjechali. Czy wrócą do Pančewa po wojnie? Zostaną w Polsce. Tu im się podoba. A jeśli nie otrzymają statusu uchodźcy? Wzruszenie ramion. Też zostaną. Co będą robić? Pracować. Gdzie? Robota się znajdzie.

Młode małżeństwo. Pytam ją, czemu wyjechali? Żeby męża do wojska nie wzięli. Zostaną w Polsce. Czy wie, że mogą nie dostać zezwolenia na pobyt? No, tak... ale chyba zostaną. Co z pracą, mieszkaniem? Milczenie. Po chwili: na razie mieszkają.

Szczepan wyjechał już dwa lata temu do Danii, bo nie chciał pójść do wojska. Jest świadkiem Jehowy. Ale nie mógł sobie tak siedzieć spokojnie w Danii, bo we Włodimirowacu (40 km od Belgradu) została żona, dzieci i matka. Więc wrócił i wyjechali razem. Szczepan po wojnie nie musi wracać do Wojewodiny, tu w Polsce czuje się jak w ojczyźnie, tu są jego bracia – świadkowie Jehowy. O, proszę, radiomagnetofon i telewizor ma od nich. Oni pomogą mu, jak trzeba będzie znaleźć pracę, na pewno będzie miał gdzie mieszkać.

DWA PIĘTRA – DWA ŚWIATY

Przyjechali do Lublina z ośrodka PCK w Otwocku, z ośrodka MSW w Warszawie. Niektórzy poza krajem są kilka tygodni, inni niemal dwa lata. Kiedy w październiku ubiegłego roku weszła do hotelu wielka gromada ludzi z torbami, walizkami, z dziećmi na rękach, trzeba było rzecz jasna rozlokować ich w pokojach. Nie rozłączać rodzin, nie skazywać ich na zamieszkanie z kimś obcym. Więc – lista przybyszów. Wyczytane nazwisko – klucze w rękę – „fajka” na liście i następne kilka osób znika na klatce schodowej. Nazwisko – klucze – „fajka”... W holu coraz mniej zmęczonych ludzi.

„Okazało się – opowiada pani Trzcionkowska – że zaraz na wstępie popełniłam błąd. Gdy Bośniacy i Serbowie rozlokowali się w pokojach, spostrzegli, że mieszkają obok siebie. Rozdawałam klucze i nie wiedziałam, że będzie to zarzewiem konfliktu. Bośniacy zaczęli wynosić się na drugie piętro. Po tygodniu trzeba było uporządkować te sprawy”.

Na pierwszym – mieszkają Romowie, na drugim – Bośniacy. Pierwsi przyjechali z terenu nie objętego wojną, drudzy uciekali, by ocalić życie. Serbowie są prawosławni, Bośniacy to Muzułmanie. (Często swą narodowość określają w ten sposób). Różni ich także styl bycia i zamieszkiwania. Romom religia nie

zabrania pić alkoholu, Bośniacy nie piją. Romowie nie są również zbyt pedantyczni, jeśli chodzi o czystość w mieszkaniu, u Bośniaków – przeciwnie. Również w stołówce jedzą trochę co innego. W poprzednich ośrodkach nikt nie zwracał sobie głowy, że Muzułmanie nie jedzą wieprzowiny. W Lublinie – zanim przyjechali, pani Małgorzata uprzedziła kuchnię, żeby nie kupować wieprzowiny. Więc z kolei Serbowie zaczęli narzekać na zbyt monotonną dietę. Wydaje się teraz dwie serie posiłków: dla Romów i dla Bośniaków. Muzułmanie są zresztą do dziś podejrzliwi, czy aby nie karmi się ich zakazanym przez religię mięsem. Nie znali dotąd wędlin z drobiu i wołowiny.

Gdy w listopadzie byłam pierwszy raz w ośrodku, ksiądz prawosławny z ul. Ruskiej odwiedził już mieszkańców pierwszego piętra dwukrotnie. Słucham zdziwiona, jaki problem musi właśnie rozstrzygnąć pani Małgorzata. Serbowie proszą o pomieszczenie na wspólną modlitwę. Dobrze – słyszą odpowiedź – niech zaproszą księdza na III piętro do świetlicy. Jest duża, można tam odprawić Mszę św. Okazuje się, że nie, nie chcą. Bo musieliby przechodzić przez piętro muzułmańskie.

Za dwa dni byłam świadkiem łez i awantury. Oto dla starszej, samotnej Bośniaczki zabrakło miejsca na drugim piętrze i mieszka na piętrze serbskim. Nie może dłużej, nie chce! Kierowniczka musi ją przenieść do swoich. Płacz. Kierowniczka ma sposób. Dwaj samotni mężczyźni zajmują dwa pokoje dwuosobowe. Chorwat – katolik zgadza się zejść na dół do Serba. W pokoju Chorwata może zamieszkać ta kobieta. Ale młody Rom walczy. Opowiada, że miejsce w jego pokoju zajęte, bo śpi u niego dzieciak sąsiadów. Pani Małgosia wzywa sąsiada. Nieprawda. Dzieciak śpi z rodzicami. Pani Małgosia zarządziła przenosiny i nie ustąpi. Młodzieniec nie raz już „pokazywał rogi”. Teraz perroruje szybko i coraz głośniejsze. Tłumacz nie nadąża tłumaczyć. W końcu kierowniczka bierze za słuchawkę. Dzwoni po policję. Tłumacz ją powstrzymuje. On to załatwi. Obaj wychodzą. „Obiecałem mu – oświadcza po powrocie – że jak się coś zwolni, to dostanie oddzielny pokój”.

...KALORYFERY, WSZY, MALOWANKI...

Tymczasem wślizguje się do kancelarii sześćioletnie stworzenie z mysim ogonkiem. Właśnie wróciło ze szkoły i musi opowiedzieć, że nauczyło się pisać „a”. A czy dostanie tę obiecaną książeczkę do kolorowania? Pani sięga do torebki i wręcza „mysiemu ogonkowi” malowanekę.

Za kilka dni przychodzę do ośrodka. Małgorzata właśnie tłumaczy dzieśioletniej Imran, że do teatru na „Czupurka” nie może pójść drugi raz, bo inne dzieci jeszcze nie były wcale. Następnie przychodzi dziewczyna i żali się, że do jej pokoju znów dobijał się ten Sadrija i ona się boi. Sprawa jest trudna – opowiada potem Małgorzata. Mieszkali razem, ale chłopak jest chyba „psychiczny”. Stwierdził, że dziewczyna „ma diabła” i on tego diabła musi zni-

szczyć. Niszczenie polegało na biciu, gwałceniu, kiedyś sąsiedzi interweniowali, bo byłby ją udusił. Nie są już razem, lecz w każdej chwili może się coś wydarzyć. Po kilku tygodniach „niszczyciel diabła” musiał wyjechać do innego ośrodka.

W poniedziałek przed południem wchodzi dwóch chłopców. Tłumaczą mozolnie: „Pani, wiesz, u nas zimno. Nie naprawili i zimno jak na dworze”. Małgosia uspokaja, że dziś już na pewno kaloryfery będą grzać.

Drzwi się za nimi zamykają. Małgorzata: „W dwóch pokojach grzejniki są zimne. W piątek rano zgłosiłam administracji, ale nie miał kto odpowiedzieć, bo hydraulicy pili. W sobotę i niedzielę ich nie było, dziś ich pomieszczenie od rana zamknięte. Zaraz zadzwonię do dyrektora. Powiem mu, że wezwę prywatnego hydraulika i obciążę ich rachunkiem”.

Wychodzę z tłumaczem na piętro muzułmańskie. To jest moja pierwsza rozmowa z tymi ludźmi. Uchronili się przed śmiercią, ale nie przed lękiem o swych najbliższych, nie przed tęsknotą za ojczyzną. Wracam do kancelarii w skupieniu.

Mijam w drzwiach młodą Serbkę. Małgorzata jest sama. Siedzi w fotelu i dusi się ze śmiechu. Kazała tej kobiecie kupić w aptece płyn przeciw wszawicy. Właśnie przyszła się rozliczyć (Ośrodek refunduje wydatki na lekarstwa). Małgosia długo i wyraźnie tłumaczy jej, jak się płynu używa. Na koniec pyta: „Rozumie pani, co z tym robić?” Tak. Rozumie. Trzeba pić trzy razy dziennie.

...ŻEBYM ODNALAZŁ OJCA

Jedną z pierwszych spraw, jakie pani Małgosia musiała załatwić po przyjeździe uchodźców, była wizyta w podstawówce. Poszła tam z listą dziewięciorga dzieci i – z duszą na ramieniu. Gdyby szkoła zgodziła się przyjąć dzieci, byłoby świetnie, już choćby dlatego, że to po sąsiedzku. Za płotem. Ale czy znajdzie się dla nich miejsce? Czy spotkają się ze zrozumieniem mali przybysze, którzy od wielu miesięcy nie chodzili do szkoły, którzy mówią innym językiem, którzy inaczej nazywają Boga?

Pani Grażyna Tyszczyk, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 31 przy ul. Lotniczej poprosiła o dwa dni, żeby przygotować szkołę na przyjęcie nowych uczniów. Te przygotowania to rozmowy dyrektorki z kilkoma wychowawcami i rozmowy z młodzieżą.

Kiedy pojawili się w szkole trochę onieśmieleni uczniowie z Bośni-Hercegowiny, z Serbii, z Albanii nawet, przyjęto ich z ciekawością, ale bardzo serdecznie i nieśmiałość przybyszów szybko minęła. Do ósmej D przyszło ich aż pięcioro i tę klasę odwiedziłam.

Nikt z młodych Polaków raczej się nie kwapił do rozmowy z dziennikarką. A nuż się palnie jakieś głupstwo, inni będą się śmiali... Jednak napisali po parę zdań o spotkaniu z kolegami z kraju, który dotknięty jest wojną domową. Pisali

o marzeniach polskiego chłopca i dziewczyny, i o marzeniach przybyszów. Pisali też o tym, czego uczy wojna, o szacunku i tolerancji.

Dziewczęta i chłopcy z robotniczej dzielnicy Bronowice w Lublinie uważają, że przynależność do innego wyznania, mówienie innym językiem nie może być powodem do pogardy, pretekstem do poniżania. Powtarzali to uparcie i konsekwentnie – czytałam to na każdej niemal kartce. Jakby chcieli ich wziąć w obronę. Czyżby spotkali się z nietolerancją, czy ktoś mówił im, że tamci są gorsi, bo są inni? „To nie ich wina, że musieli wyemigrować ze swojego kraju” – pisze jedna z dziewcząt. A inna: „W ich pamięci zakodowane są wspomnienia tych przerażających, wstrząsających chwil wojny. Trupy dzieci, płaczące matki, kałuże krwi... Tymi ludźmi nie należy pogardzać, trzeba ich wesprzeć i pomóc im”.

A może nastolatki z VIII D słyszały od kogoś to, co ja słyszałam jako odosobniony na szczęście „głos w dyskusji” w czasie Dni Praw Człowieka na KUL-u? Oto starszy pan próbował przekonać zebranych, że skoro mieszkańcy byłej Jugosławii są głupi i tłuką się między sobą, to ich sprawa. A my mamy dość biednych Polaków i nie ma sensu zajmować się obcymi.

Wojna. W VIII D widzą ją różnie. „Na wojnie człowiek uczy się żyć inaczej, uczy się radzić sobie i pomagać innym”. Tak ją widzi dziewczynka, której wojna przypomina raczej obóz harcerski. A jej koleżanka tak ocenia skutki zanegowania wartości: „Człowiek na wojnie doceni swoją ojczyznę. Będzie mu droższa i bardziej cenna. Dlatego każdy, kto przeżył wojnę, ma inny, bardziej osobisty stosunek do ojczyzny. W czasie wojny stanie się ona dla niego wszystkim. W czasie wojny nie chodzi się do szkoły, a wtedy właśnie każdy poznaje, czym jest nauka, wiedza. Wojna uczy także szacunku dla ojczyzny, ale i dla domu, szkoły”.

Chłopcy widzą wyraźniej jej niszczycielską siłę: „Wojna czyni z niektórych ludzi wariatów, a z niektórych – morderców” – pisze jeden, a drugi: „Ci, którzy byli przed wojną ludźmi porządnymi, mogą stać się mordercami. Według mnie wojna z ludzi czyni złych”. Inny: „Gdybym był osobistym doradcą sekretarza ONZ, doradziłbym mu zakończenie wojny w Jugosławii. Wprowadziłby on połączone wojska różnych krajów na teren wojny. Wojska te miałyby rozdzielić walczące strony. Jeśli to nie pomogło, trzeba by użyć siły”.

Przejmujące jest wyznanie Mehrudina z Bośni-Hercegowiny: „Wojna może doprowadzić do tego, że człowiek znienawidzi swój naród, swoich przyjaciół i zmusi go do opuszczenia ojczyzny”. Zoran: „Wojna może zabić człowieka, zniszczyć naród, przynieść nienawiść jednej nacji do drugiej”.

Spytałam ich o marzenia. Zoran mówi: „Chciałbym już być w mojej ojczyźnie, gdzie kiedyś chodziłem po kafejkach i grałem w gry komputerowe. Chcę mieć w swoim kraju wielki dwupiętrowy dom i mercedesa”. Mehrudin: „Moja matka i siostra chcą, aby wojna się skończyła i żebyśmy mogli wrócić do Bośni i Hercegowiny, mieć swój dom. I żebyśmy odnalazł ojca, którego bardzo

kocham". Wjollca z Albanii pisze: „Moja matka i ojciec chcą, abyśmy jak najszybciej wrócili do domu, do Kosowa. Chcemy mówić w swoim języku, a nie w obcym”.

W tym kontekście nie warto by może mówić o marzeniach polskich nastolatków. Są zwyczajne, wolne od tego dojmującego braku ojczyzny, domu. Lublinianie chcą skończyć podstawówkę, technikum samochodowe, zostać kierowcą „tira”, zawodowym bramkarzem...

Ale jedno z nich, nie wiem, chłopiec, czy dziewczyna, zapytane o swoje najgorętsze pragnienie, odpowiedziało: „Marzę, żeby wojna w Jugosławii skończyła się i żeby wszyscy wrócili do swoich domów i rodzin”.

Te rozmowy były w listopadzie. W grudniu pani Małgorzata znów poszła do dyrektorki szkoły. Czy przyjmie jeszcze czternaścioro? I dla tych znalazło się miejsce.

W lutym jugosłowiańskie dzieci pojechały ze swymi polskimi kolegami na obóz organizowany przez szkołę.

FASZYZM W KRÓTKICH MAJTECZKACH

I tym optymistycznym akcentem kończą się dobre czasy w Szkole Podstawowej nr 31. Dzieci z Wrońskiej zostały przed wyjazdem zaopatrzone przez „Equilibre” w nowe kurtki i buty. Kiedy po feriach przyszły w nich do szkoły, zaczęły się docinki, poszarpywania. Zaraz potem Bośniakom z VIII D podrzucano karteczki „Polska dla Polaków”, „buraki do domu”. Polacy zażyczyli sobie, żeby koledzy z Jugosławii siedli w klasie osobno, przy ostatnich stolikach. Napisałam wyżej: „a może nastolatki z VIII D słyszały od kogoś...”. Owszem, słyszały. Pani dyrektor Tyszczyk opowiadała, że zaraz po przyjeździe uchodźców do ośrodka wybierali się do niej rodzice, by zaprotestować przeciw wprowadzeniu do szkoły cudzoziemców. Rodzice wprowadzić do dyrekcji nie dotarli, ale...

Pani Trzcionkowska przedzwoniła do szkoły, żeby umówić się na rozmowę w sprawie tych karteczek, a także, by powiedzieć, że u jednego z dzieci lekarz stwierdził tasiemca. Sanepid zaleca częstą dezynfekcję sanitariatów, a nauczyciele powinni obserwować, czy w klasie, w której zachorował dzieciak, inni uczniowie nie żalą się na bóle brzucha, nie wychodzą częściej do ubikacji. To było 25 lutego, w piątek.

W poniedziałek Małgorzata poszła do szkoły, ale problem „getta ławkowego” i „Polski dla Polaków” przestał istnieć. Do kancelarii wzywane były dzieci z Jugosławii i dowiadywały się, że już nie wolno im chodzić do szkoły. Chłopiec z ósmej klasy – opowiada Małgosia – nie mógł pojąć, co się dzieje. Nie może chodzić? Prosi żeby mu powtórzyć te dziwne słowa. On pójdzie do tłumacza, tłumacz mu wyjaśni. Młodsze dzieci płakały. Dwadzieścia sześcioro dzieci zostało „w domu”. Na szczęście zajęła się nimi nauczycielka ze Szkoły nr

23 dr Jolanta Pawłowska. Najpierw zajęcia w hotelu, potem czwórka młodszych zaczęła chodzić do jej szkoły.

Dziewięcioro, po przedstawieniu świadectwa lekarskiego, wracało po kolei do Szkoły nr 31. Ale ci ze starszych klas nie poszli. Rozumieją, że „Polska – dla Polaków”.

MAJĄ DOŚĆ SWOICH ZŁODZIEI

Od wielu lat statystyki światowe wykazują, iż nie przystoi nam, Polakom, gorszyć się, że przedstawiciele innych narodów bywają zbyt często „w stanie wskazującym”. Trzeba jednak przyznać, że już w pierwszych tygodniach funkcjonowania ośrodka dla uchodźców konieczna okazała się współpraca z policją. Nie chodzi tu nawet o włamanie do kierownika hotelu i do kuchni, którego dokonano przez okno. Z zewnątrz. (Mieszkańcy hotelu ustalili dyżury, by pilnować posesji). Nie chodzi o znikanie co lepszych ciuchów z magazynku odzieży – bez śladów włamania. Tu „niewidzialna ręka” działała od wewnątrz. (Pani Małgosia zarządziła zmianę zamka i zapasowego klucza nie zostawia na portierni). Współpraca z policją okazała się nieodzowna, odkąd styl bycia Romów odbiegać zaczął od regulaminu ośrodka, szczególnie w punktach dotyczących spożycia alkoholu i ciszy nocnej. Wrzaski pijaków, głośne nastawianie radia, kiedy matki poukładały już dzieci do snu, kiedy spokojni mieszkańcy hotelu na próżno próbują przyłożyć głowy do poduszek. Oczywiście interwencja recepcjonistki nic by nie dała. Zresztą, co tu mówić, kobieta się boi.

A telefon właśnie zepsuty. Więc kiedy zrządzeniem Opatrzności patrol policji wstąpił do hotelu, recepcjonistka przyjęła chłopców w mundurach z otwartymi ramionami i zaprowadziła do najgłośniejszego pokoju. Któryś z pijaków „wystartował” do władzy z nożem. Więc władza pijaka skarciła. W tym momencie solidarność tułaczy sprawiła, że przeciw dwóm policjantom staje dwudziestu chłopów z nożami w garści. Portierka przodem, zaraz za nią po schodach dwóch funkcjonariuszy na służbie, a za nimi zdenerwowani Romowie. Tych troje zdążyło wybiec na zewnątrz i zamknąć drzwi na klucz. Wezwali policję. Po chwili przyjechały cztery radiowozy. Policjanci wkroczyli na serbskie piętro. A tam już była cisza, wszyscy grzecznie spali.

Ponieważ incydent ten był bardziej może dramatyczny od innych, ale nie jedyny, a napomnienia pisemne i ustne liderów tych wieczornych spotkań niczego nie wnosily w ich styl bycia, więc kierowniczka ośrodka próbowała telefonicznie namówić komendanta III Komisariatu przy ul. Kunickiego, by wieczorem patrole pojawiały się przy ul. Wrońskiej w miarę regularnie.

Komendant nie reagował. Poszłam zapytać, dlaczego?

„Po pierwsze – mówi – po co brać nowy kłopot na głowę, jakby nam było mało własnych złodziei. W tym budynku, pani redaktor, do wiosny stacjono-

wały oddziały prewencji. Dla nich pieniędzy zabrakło. Na azylantów – są. Poza tym nie można zacząć dochodzenia bez zgłoszenia przestępstwa, a takich zgłoszeń nie było. Bez tłumacza przysięgłego nie można wykonywać czynności procesowych”.

Policjant też człowiek i kieruje się niekiedy sentymentem. Rozumiem więc tęsknotę za oddziałami prewencji i żal, że ich już nie ma. Pojmuję i to, że każdy woli mieć mniej roboty. Więc wyjaśniam to, co zapewne oboje wiemy, że nie chodzi o czynności procesowe i nikt przestępstwa zgłaszać na szczęście nie zamierza. Chodzi tylko o to, żeby wieczorem wóz patrolowy pojawił się na Wrońskiej. Pańskie oko – jak powiadają – konia tuczy.

Wtedy komendant powrócił do wątku „własnych złodziei”. Jeśli w nocy wystawi pięć do siedmiu patroli, to o połowę za mało w stosunku do potrzeb. Okolica za cukrownią zwana jest „dzielnicą cudów”. Do tego dochodzi ulica 1 Maja, dworzec PKS-u, PKP, bazar. Już od zmroku element „rąbie” sklepy, samochody „na żywca”. Nie ma dzielnicy, żeby nie było interwencji. Raz w tygodniu obrobiony jest kiosk na pętli przy Kunickiego. A w dzień mają stawiać dwóch ludzi na parkingu przy Muzeum na Majdanku, jak tylko przyjadą Żydzi. Trzeba im samochodów pilnować. Od 16⁰⁰-22⁰⁰ element podchodzi pod szkoły, bursy, zdejmuje z przechodzących uczniów ubranie. Czekają przy pętlach autobusowych na samotnie wracających do domu. Więc wszędzie też powinny być patrole.

To wszystko opowiada mi komendant stojąc przed ściennym planem miasta. Tu kiosk, tu pętla, tu jeszcze szpital psychiatryczny w Abramowicach, tu „dzielnica cudów”...

To prawda – mówię – że teren jest duży i z tradycjami, ale czy naprawdę nie można radiowozem podjechać również na Wrońską?

Komendant rozkłada ręce.

Nie rozłożyła rąk pani Małgorzata. List do szefa Wojewódzkiej Komendy Policji sprawia, że radiowóz podjeżdża również na Wrońską. Ale policja nie ma tutaj roboty od czasu, kiedy kierowniczka spowodowała wyjazd do innych ośrodków trzech liderów życia nocnego. Wyjechał też Sadrija, ten który „wyganiał diabła”.

MYDEŁKA TO KROPLA W MORZU

W kancelarii leży od paru dni dwadzieścia mydełek toaletowych. Kiedy o nie pytam, Małgosia mówi, że chciałaby mydło rozdać wszystkim, a zdobyła tylko część tego, co potrzeba. Dlaczego nie kupi na rachunek? Bo na środki czystościowe uchodźcy powinni dostać co miesiąc 40 tysięcy. Dotychczas nie dostali, bo pieniędzy nie przywiozła księgowa z Dębaka. (Czemu z Dębaka – powiemy później). Trzeba czekać. Pytam, czym się będą myć? No właśnie. Tego pani Małgosia też nie wie.

Poszłam więc tam, gdzie w '82 roku zbierało się pieniądze na internowanych, gdzie potem przez kilka lat kasa NSZZ „Solidarność” zasilana składkami płaciła statutowe zasiłki. Poszłam na KUL do moich kolegów – bibliotekarzy. Przez pół godziny zebrali trzysta tysięcy i kilkanaście mydełek. Zebrali, chociaż wiedzieli z mass mediów, ile kosztuje miesięcznie pobyt jednego uchodźcy.

Te mydelka to kropla w morzu solidarności.

Codziennie przychodzą paczki z odzieżą z różnych stron Polski. Do połowy lutego ośrodek otrzymał ich ponad sto.

Przed świętami Bożego Narodzenia ambasada niemiecka przywiozła zabawki, kilkaset kilogramów owoców, słodczy, a także buty, ubrania. W styczniu Fundacja Equibre i tutaj dotarła z transportem adidasów, śpiworów i czapek. Caritas ofiarował buty i zabawki.

Pewnego dnia dwie starsze panie przyszły do ośrodka z kartonem świeżych pączków. Dla dzieci przyniosły. Same smażyły całą noc. Było im trochę przykro, bo kiedy dzieci serbskie zostały już poczęstowane, okazało się, że te z Bośni nie chcą. Nie potrzebują. Nie będą jeść razem z Serbami, nie będą zjadać resztek po nich.

Kiedyś pani Małgosia przychodzi do pracy i zastaje w recepcji jakiegoś pana ze skrzynkami pomarańczy i bananów. Pan się przedstawia. Jest ze Wspólnoty „Pojednanie” i przywiózł owoce dla uchodźców. Zeszłym razem też zostawił w recepcji. Pani Małgorzata zdziwiona. Okazuje się, że tamten poprzedni prezent nie dotarł do adresatów. Więc bywa i tak...

Albo tak, jak z przesyłką, którą trzeba było odebrać na dworcu PKP. Kiedy Małgorzata zgłosiła się z awizem na stacji, okazało się, że ktoś już przesyłkę pobrał. Ten ktoś miał pieczętkę hotelu. Kto przywłaszczył paczkę? Nie wiadomo.

Aha! Zapomniałabym o najważniejszym. Również zaopatrzeni w słodczy dla dzieci przybyli państwo z Zarządu Wojewódzkiego PCK z panem Stefanem Pedryczem, sekretarzem zarządu (niechże i ja przyczynię się do pochwały ich szlachetności!). Razem z łakociami przywieźli ze sobą panów z prasy i z telewizji. Kierowniczka ośrodka okazała brak zrozumienia. Nie chciała się uśmiechać do kamer i w ogóle odmówiła udziału w uroczystości.

Kiedy w lutym dzieci z ośrodka miały jechać w góry do Istebnej na ferie razem z dziećmi szkolnymi, brakło pieniędzy na bilety. Nie przysłano w porę z Dębaka. Pani Małgosia poprosiła lubliniaków o pomoc. Chodziło o szybką zrzutkę, by uskładać pięć milionów. Informację podała 26 stycznia „Panorama Lubelska”, a dzień później „Gazeta w Lublinie”. Już w tym samym dniu potrzebna suma była w ośrodku. Trzy i pół miliona podarował „Polcop” z Motycza pod Lublinem (dołożył do pieniędzy deklarację stałych darmowych dostaw mrożonek). Resztę dała spółdzielnia lekarska „Lux-med” i lekarze z kliniki ortopedii dziecięcej przy ul. Chodźki.

POWOLI, ALE KOSZTOWNIE

Do kancelarii wchodzi dwie Serbki. Były w aptece. Pani Małgosia tłumaczy, jak zażywać. Potem sięga po torebkę. Zwraca kobietom pieniądze za leki.

Jak to robi, że jej się nie pomyła kasy, skoro służbową trzyma tam, gdzie prywatną? – pytam po wyjściu kobiet.

Nie ma dwóch kas. To są jej prywatne pieniądze. Już wydała całą pensję z Politechniki (Małgorzata jest nauczycielem akademickim). Księgowa z Dębaka jej zwróci, tylko nie wiadomo dokładnie, kiedy...

Pora wyjaśnić, co to znaczy „Dębak”.

Otóż w miejscowości tej znajduje się jeden z ośrodków dla uchodźców utrzymywany przez MSW. Dębak tym różni się od innych, że jest „Jednostką Budżetową”. Powoduje to, że dysponuje pieniędzmi dla wszystkich ośrodków. Lublin, Rymanów, Bielsko Biała muszą czekać, aż księgowa przywiezie kieszonkowe dla uchodźców, wypłaty dla pracowników, pieniądze na wydatki ośrodka typu: zeszyty dla dzieci, lekarstwa. Środki te płyną na Wrońską jak krew z nosa. Może nie warto byłoby się tym zajmować, bo podobno w niedalekiej (?) przyszłości opiekę nad ośrodkiem ma przejąć wojewoda lubelski. Ale nie tylko w Dębaku sprawy idą tak ociężale. Gdybym miała komponować herb dla Biura Migracji i Uchodźstwa, na pewno znalazby się w nim żółw. Albo lepiej dinozaur, zwierzę przedpotopowe.

Jak już mówiłam, miesięczny pobyt jednego cudzoziemca w ośrodku dla uchodźców kosztuje trzy miliony. Nie trudno policzyć, ile na przykład wydać trzeba przez pół roku na rodzinę pięcioosobową. Czy wydatek ten jest konieczny? Czy nie można by skrócić czasu oczekiwania na decyzję dotyczącą nadawania przybyszom statusu uchodźcy? W Niemczech procedura ta trwa około miesiąca. W Finlandii – dwa tygodnie. Polski kodeks postępowania administracyjnego określa termin wydania decyzji: jeden miesiąc; wyjątkowo dwa miesiące. A trwa to wiele miesięcy.

W Biurze do Spraw Migracji i Uchodźstwa MSW zatrudnionych jest około czterdziestu pracowników. Z tego cztery osoby rozpatrują wnioski o nadanie statusu uchodźcy. Ponadto ich tempo pracy jest dużo wolniejsze niż w podobnych biurach za granicą. Niemiecki urzędnik załatwia pięć osób dziennie. Nasz – tylko jedną.

Kiedy Krzysztof Lewandowski, dyrektor Biura, odwiedził ośrodek w Lublinie, miałam okazję spytać go o te sprawy. Dyrektor twierdzi, że to musi trwać tak długo. Przybysz z Jugosławii prosząc o azyl składa zeznania, które trzeba zweryfikować. Biuro musi sprawdzić, czy Bośniak o nazwisku takim to a takim naprawdę musiał uciekać ze swej ojczyzny, czy Serb naprawdę był narażony na prześladowania. Sytuacja wojny ludobójczej nie jest dla Biura dostateczną informacją. Każdy przypadek trzeba badać oddzielnie. Pytam

więc, czy nie mogłoby tego robić więcej osób. Pieniądze wydane na dodatkowe etaty zwróciłyby się, gdyby przybysze krócej korzystali z gościnności na nasz koszt. Dyrektor na to, że ilość etatów określa sam minister spraw wewnętrznych. A on jej nie zwiększy. Dlaczego? Bo – NIE. Na pociechę dowiadujemy się w tajemnicy, że najprawdopodobniej w przeciągu miesiąca wszyscy Bośniacy otrzymają status uchodźcy. Ponieważ minął więcej niż miesiąc – tajemnica przestaje mnie obowiązywać. Od tego czasu jedna rodzina Macedończyków dostała decyzję odmowną. Reszta – czeka.

NA ŁYŻWY!

Podczas gdy Wydział do Spraw Uchodźców w Warszawie opracowuje program integracji uchodźców w Polsce, przybysze z Jugosławii siedzą w hotelu i – czekają.

Niektórzy z nich nie są beczynni. Policja wspominała o przypadkach paserstwa. Dwóch czy trzech wyjeżdżało do Warszawy pracować. Na dwa tygodnie. Czterech znalazło pracę w Przedsiębiorstwie Budownictwa Specjalistycznego PATE, uzyskało zezwolenie Wojewódzkiego Biura Pracy na jej podjęcie, ale okazało się, że należy wyjechać poza Lublin, a więc opuścić rodziny i swoją grupę. Sprawa upadła.

Nie trzeba nikomu tłumaczyć, że to wielomiesięczne czekanie sprzyja rozwijaniu się różnych dewiacji. W Lublinie próbuje się temu przeciwdziałać.

Już w listopadzie zainteresowało się przybyszami kilkoro studentów Politechniki Lubelskiej. Przychodzą bawić się z dziećmi. Powstał też pomysł nauki języka polskiego. Studenci prowadzą lekcje w trzech grupach wiekowych.

Były wyjścia do Teatru im. Osterwy na „Czupurka”, do Teatru Lalki. Chatka Żaka zaprosiła na występ Zespołu Pieśni i Tańca UMCS-u, na wystawę starych motocykli. W lutym uchodźcy zwiedzali Muzeum na Zamku, dorosli byli też na Majdanku. (Oczywiście wszędzie wstęp mają wolny). Ale pani Małgosia wie, że to nie wypełni im czasu, że to są wyjścia „odświeżne”.

Może sport? I to był strzał w dziesiątkę. Kiedy Małgorzata zwróciła się do Leszka Loupperta, kierownika Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji, ten od połowy stycznia zapewnił darmowy wstęp na pływalnię dla trzydziestu osób. Z lodowiska podległego również MOSIR-owi korzystać można w poniedziałki. Też za darmo. Wypożyczenie czepków na pływalni i łyżew – gratis, instruktor na basenie – także.

Salę gimnastyczną udostępnia po sąsiedzku szkoła podstawowa za symboliczne 500 tys. zł. (Dla porównania: na Politechnice płaci się za wynajęcie sali gimnastycznej 300 tys. za godzinę). W tej sali rozgrywane są mecze siatkówki. To mecze międzynarodowe – mówi Małgosia. Grają Serbowie z Muzułmanami.

Być może mecze siatkarzy zostaną włączone do rozgrywek Ligi Miejskiej. Sportowcami z Wrońskiej interesuje się Zarząd Miejski TKKF.

W NOCY LEPIEJ SŁYCHAĆ SARAJEWO

W walczącej Warszawie, w Armii Andersa, w łagrach, obozach jenieckich Polacy zakładali teatry, kabarety, zespoły śpiewacze, organizowali komplety, słuchali wykładów...

Więc spytałam ludzi – wygnańców, którzy jednak są w dużo lepszych warunkach niż my przed laty, czy przychodziło im do głowy razem pośpiewać, czy Muzułmanie zbierają się na wspólną modlitwę, czy może ktoś z dziećmi założyłby teatrzyk...

Kobieta popatrzyła na mnie rozżalona i zdziwiona. Kto ma głowę na takie rzeczy? Ona myśli tylko o tym, czy jej mąż jeszcze żyje.

Nie ona jedna. Ich myśli i rozmowy to marzenia o domu i lęk o najbliższych. Nasłuchują odgłosów z ojczyzny, ale w wiadomościach radiowych i telewizyjnych nie ma nic o tacie Jasmina ani o mężu Šeliji.

Irfan Džiko z Rogatycy po roku tułaczki przyjechał do Ośrodka w Otwocku z żoną i dzieckiem w czerwcu ubiegłego roku. I od razu zaczął myśleć o zorganizowaniu amatorskiej radiostacji, żeby złapać kontakt z ojczyzną. Radioamatorzy nadają informacje o poszukujących się rodzinach. Trzeba wychwycić te wieści i odpowiedzieć: jest nas tu w Lublinie stu dwudziestu Muzułmanów, nazywamy się tak a tak. Trzeba wśród szumu fal radiowych wyłowić wieści o życiu tych, co zostali w Goražde, Sarajewie, w wielu miastach i wioskach nad Driną, którą zwie się ostatnio – „Czerwoną Driną”. Więc Irfan Džiko z Rogatycy zaczął starania o radiostację. W Otwocku nic nie załatwił. W Lublinie – od nowa.

Dowiedzieli się z panią kierowniczką, że Państwowa Agencja Radiokomunikacyjna wyda zezwolenie na emisję, o ile Irfan ma uprawnienia. Twierdzi, że ma, ale nie przywiózł ze sobą dokumentu; pamięta swój numer statystyczny. PAR sprawdziła w międzynarodowym katalogu. Niestety, jest to tylko numer klubu, w którym działał Džiko. Więc musi zdać w Polsce egzamin. To nie takie proste. Brak podręczników, bariera językowa.

Drugi problem to sprawa samej radiostacji. Kosztuje 20 milionów. Więc w czasie wizyty dyrektora Krzysztofa Lewandowskiego pytamy go, czy Biuro byłoby w stanie sfinansować ten zakup. Oczywiście – odpowiada dyrektor w ojczystym języku Irfana Džiko – rozumie niepokój Bośniaków. Pieniądze się znajdują. Za kilka dni przez telefon informacje w języku polskim, że pieniędzy na radiostację nie będzie. Małgorzata dowiaduje się od dyrektora Lewandowskiego, że nie można dawać Bośniakom radiostacji, bo tą drogą mogliby przekazywać „różne inne informacje”.

Wcześniej jeszcze pani Małgosia dzwoniła do opiekuna Klubu Łącznościowca przy Zespole Szkół Elektronicznych pana Władysława Zwierzchowskiego. Zgodził się porozmawiać z Bośniakami, ale do spotkania nie doszło, bo tłumacz, który jest Bułgarem osiadłym w Polsce, nie dość precyzyjnie ich

umówił. Piszę o tym tak szczegółowo, bo jeszcze nie raz pan Zwierzchowski będzie na darmo czekał na Irfana z tłumaczem. Jest spokojny, rozumie sytuację i ma anielską cierpliwość.

Po raz drugi do szkoły poszłam ja. Najpierw do dyrektora Zespołu pana Jana Chmielewskiego. Zrozumieliśmy się szybko. Dyrektor wiedział, że to nie tylko ogromna pomoc dla uchodźców, ale świetny moment do pracy wychowawczej, bo przecież uczniowie członkowie klubu – współpracowaliby z radiowcem z Rogatycy. Kiedy według umowy przyszedł do dyrektora po trzech dniach, w sekretariacie czekał pan Zwierzchowski. Szef szkoły dał nam swe błogosławieństwo i poszliśmy na górę do klubu ustalić szczegóły. Bośniak będzie mógł na początek wylapywać odpowiednie radiostacje i nagrywać potrzebne fragmenty. Potem ustalą, co pan Dżiko chce nadawać. Umowy międzynarodowe określają, jakie treści mogą być nadawane przez radioamatorów. Wyklucza się na przykład uprawianie polityki. Trzeba też będzie pomyśleć o przygotowaniu Bośniaka do egzaminu, tak by mógł pracować samodzielnie. Pierwsze nasłuchy odbywały się w Zespole Szkół Elektronicznych. Z Irfanem Dżiko pracował przez długie godziny uczeń IV klasy, szef Klubu Łącznościowca, operator radiostacji Marcin Korona.

Za kilka tygodni pan Zwierzchowski przyjeżdża na Wrońską. Chce sprawdzić, czy są tu warunki do zainstalowania odbiornika. Klub Łącznościowca gotów jest wypożyczyć takie radio. I znowu po wielu kłopotach i omyłkach kierowcy radio dotarło do hotelu. Przy aparacie siedzi nocami nie tylko Irfan. Przecież słyszać – Sarajewo. Więc zbiega się ich wielu. Słuchają.

Gdyby mieli nadajnik, można by z Wrońskiej emitować wiadomości dla tamtych w kraju. Pan Zwierzchowski obiecał pomoc. Ale musi być pozwolenie z Warszawy. Z początkiem marca z Ośrodka dla Uchodźców wysłano list do Grzegorza Pachnickiego, dyrektora departamentu Rozwoju Służb Radiokomunikacyjnych Polskiej Agencji Radiokomunikacyjnej. List zawierał prośbę „o wyrażenie zgody na przekazywanie przez radiostację amatorską KDB w Klubie Łącznościowca LOK przy Zespole Szkół Elektronicznych w Lublinie informacji dotyczących osób przebywających w Ośrodku dla Uchodźców do stacji pracujących w pasmach 3,5 Mhz w Bośni”.

Pismo do dziś (15 kwietnia) pozostaje bez odpowiedzi. Właśnie jestem w ośrodku. Do kancelarii wchodzi Irfan Dżiko. Jest starszy o 10 lat. Oczy zapadnięte. Goražde jest bombardowane. Nie sto osób zginęło, jak podają agencje, a kilkaset. Tam są krótkofalowcy. Słyszymy ich nocami. Irfan i jeszcze inni mają w Goražde bliskich. Czy nie można by choć kilka razy złapać z nimi kontakt?

Małgosia dzwoni do Zwierzchowskiego. Oczywiście on i Marcin są do dyspozycji, ale na tę emisję musi być zezwolenie PAR-u. Małgosia dzwoni do dyrektora Pachnickiego. Okazuje się, że trzeba mieć zezwolenie ministra

spraw wewnętrznych, a może i ministra spraw zagranicznych. On sam nie może... To byłby precedens.

Jak to – powiada Małgosia – przecież Bośniacy w Szwecji mają kontakt radiowy z Sarajewem, z Goražde. Nasi dzwonią do Szwecji i stamtąd dowiadują się o losach swoich bliskich.

W wolnej Polsce ludzie nie mają możliwości swobodnego porozumiewania się. W wolnej Szwecji – mają to prawo. Wciąż jeszcze są kraje wolne i „wolniejsze”.

Prócz drogi radiowej uchodźcy mają pewną szansę dowiedzieć się o losie swych bliskich z gazet. Pan Dżiko pokazuje mi czasopisma: „Oslobodenje” wychodzi w Lublanie w Słowenii. Tygodnik „Ljiljan” tak samo, ale prenumeratę można zamówić także na terenie Niemiec przez Dresdner Bank Mainz. Jeden numer kosztuje 3 marki 60 fenigów, czyli ok. 50 tysięcy zł. „Ljiljan” ma rubrykę „Poruke nade”, czyli – jak to przełożył nasz tłumacz – „Zamówienie nadziei”. Za jej pośrednictwem można znaleźć informację o poszukiwanych, zaginionych w zawierusze wojennej. Na Wrońską dotarły ze dwa takie numery sprzed wielu tygodni. Ponieważ pertraktacje na ten temat z ambasadą niemiecką nie przyniosą pewnie efektu, pani Małgosia robi chyba to, co czyniła już wielokrotnie z bardzo dobrym skutkiem: poprzez mass media zwróci się do społeczeństwa z prośbą o prenumeratę „Ljiljan” dla Bośniaków z Wrońskiej.

„JAK ROZPĘTAŁAM WOJNĘ W JUGOSŁAWII”

Ten odcinek poświęcę mass mediom, bo i one wiele uwagi poświęciły uchodźcom.

Pożyteczne okazały się informacje o potrzebach uchodźców. Notatka na pierwszej stronie „Gazety w Lublinie” (27.01.94) złożona z pięciu zdań opatrzona tytułem *Trzeba 5 milionów* rzeczowo informuje i uruchamia natychmiastową reakcję ludzi. Podobną funkcję spełnił tekst w „Dzienniku Lubelskim” (20.10.93). Redaktor Grażyna Hryniewska pisze o potrzebach lokatorów ośrodka, o brakach odzieży, o słabym wyposażeniu hotelu. Niedługo potem zaczęły nadchodzić paczki z ciuchami, a arcybiskup Bolesław Pylak podarował telewizor. Funkcję rzetelnej informacji pełni notatka „Kurier Lubelskiego” (16.11.93) omawiająca sytuację prawną uchodźców.

W zasadzie można przyjąć, że teksty krótsze są bardziej rzetelne i spełniają prawidłowo rolę informującą, ale również inspirującą.

Notatka-laurka o choince zorganizowanej przez PCK jest tu wyjątkiem. Bo wprawdzie sekretarzowi ZW PCK wolno było wypowiedzieć słowa: „dzięki naszej małej akcji na buziach tych maluchów zagościł choć na chwilę uśmiech [...] udało się choć na pewien czas odsunąć od tych dzieci przykre wspomnienia o okrucieństwie wojny”, ale jest to słodka mowa-trawa. Obserwuję dzieci na co dzień. Są wesole, żywe, powiedziałabym, że bardziej „na luzie” i spontaniczne

niż dzieci polskie. Żadne z nich nie siedzi smutne i nie rozpamiętuje okrucieństwa wojny. Dziwaczny, czasem nieporządny ubiór niektórych z nich jest wynikiem niedbalstwa matek.

Gdyby jednak tylko takie rzeczy wypisywali dziennikarze o domu dla uchodźców przy Wrońskiej, nie byłoby się czym zajmować.

W połowie listopada 1993 r. „Kurier Lubelski” zamieszcza spory tekst *Nie nasza wojna*. Zawiera on tyle błędów, że Małgorzata Trzcionkowska pisze sprostowanie: Z mieszkających na drugim piętrze Muzułmanów autorka uczyniła Chorwatów. Dla czytelnika polskiego pomyłka reporterki może wydawać się nieistotną, jednakże obywatele byłej Jugosławii czują się dotknięci, co należy rozumieć, myleniem ich narodów. Po drugie – autorka artykułu broni „Chorwatów wyznania muzułmańskiego”, którzy „nie rozumieją, dlaczego w Polsce [...] nie szanuje się ich prawa do wolności i wyznania”. Dziennikarka pisze, jakoby Muzułmanom podawano w stołówce wieprzowinę. To również wyjaśniła pani Trzcionkowska i cały tekst sprostowania „Kurier Lubelski” zamieścił w tydzień po bałamutnym artykule.

Równocześnie (dzień wcześniej) „Kurier” znów wydrukował artykuł, na który pani Małgorzata musiała zareagować. Oto czytelnik dowiaduje się, że Lublin nie mógłby przyjąć Chorwatów ze względu na możliwość konfliktu z Bośniakami. „Każda osoba – czytamy w sprostowaniu – również pochodzenia chorwackiego, po dopełnieniu formalności może znaleźć schronienie w ośrodku. Chorwaci nie są w tym względzie szczególnym zagrożeniem”.

Kompletną już bzdurę stanowi stwierdzenie („Kurier Lubelski” 23.11.93 (ep.) *Byle nie Chorwat*), że „W lubelskim hotelu będą mogli pozostać tylko ci, którzy wystąpią o status uchodźcy i otrzymają kartę stałego pobytu”. Podobne głupstwa powtarza „Gazeta Wyborcza” (2.12.93 (ka): *Przez zaskoczenie*): „Żeby dostać się do Lublina mieszkańcy ośrodka w Otwocku musieli podpisać wnioski, że będą się starać o status uchodźcy. Oznacza to, iż do końca wojny toczącej się w byłej Jugosławii zmuszeni będą przebywać w Polsce”.

Jak pisałam na wstępie, uchodźcy przebywali w ośrodkach PCK, które nie zajmowały się regulacją prawną pobytu uchodźców w Polsce. Ośrodki PCK padły, bo brakło pieniędzy. MSW otwarło podobne placówki dla osób starających się o status uchodźcy. Wśród uchodźców powstała wtedy plotka, którą powtórzyła „Gazeta Wyborcza”, że skoro ktoś otrzyma status uchodźcy, skazuje się na przymusowy pobyt w Polsce aż do końca wojny.

Aby się upewnić, że jest to nieprawda, poprosiłam o opinię prawnika z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka w Warszawie, panią Irenę Rzeplińską. Otóż czas pobytu w Polsce określa sam uchodźca (chyba że popełni przestępstwo i zostanie wydany). Jego wyjazd do innego kraju uzależniony jest od otrzymania wizy. Być może – wyjaśnia Irena Rzeplińska – pogłoska o przymusowym pobycie w Polsce pojawiła się na skutek mylnej interpretacji zasady non-refoulement (niewydalania).

W „Gazecie Wyborczej” z 10 grudnia ’93 ukazał się reportaż Piotra Pytlakowskiego *Dwa piętra Jugosławii*. Autor zakłada, że w domu uchodźców przy Wrońskiej jest sytuacja podobna, jak w byłej Jugosławii. Tam wojnę rozpętali politycy, tutaj kierowniczka ośrodka. To ona powaśniła dwa narody, które dotychczas żyły w zgodzie, ona podzieliła przybyszów na piętra. Zaraz na wstępie reportażu sielski obraz: „Przez pierwszy tydzień – Serbowie i Muzułmanie obok siebie. Spotkania w łazience, w pralni, towarzyskie pogawarki na korytarzu. Polacy zajmujący górne piętra odnosili wrażenie, że uciekinierzy z Bałkanów stanowią jeden naród...”.

Nic to, że licentia poetica Pytlakowskiego wyczarowała Polaków na górnych piętrach, że stworzyła pralnię dla uchodźców, której nie ma. Może i to nieważne, że reporter odnotowuje nieobecność kierowniczki w ośrodku nie zaznaczając, że była to wolna sobota. Głęboka niechęć Bośniaków do Serbów sięga wydarzeń w ich ojczyźnie i zarzucanie pani Trzcionkowskiej wzbudzania w przybyszach nacjonalizmu jest oszczerstwem. (Zresztą jak było z podziałem na piętra – opowiadałam).

Małgorzata znów pisze sprostowanie pod tytułem *Jak rozpętałam wojnę w Jugosławii*. Redakcja chce zamieścić je w „Listach do redakcji” pod tytułem „Sprostowanie”. Ponadto tekst ma pójść ocenzurowany. Więc Małgosia pisze drugi raz, bo cięcia cenzorskie deformują jej myśl. Jest połowa lutego. Replika Trzcionkowskiej nie ukazała się.

*

W czasie drugiej wojny światowej Ivo Andrić wypowiada w *Moście na Drinie* słowa, które dziś stają się przestrogą dla możliwych tego świata: „Wy tu wysiadujecie i bawicie się beztrosko, a nie wiecie, co się dzieje za Stanisławcem. Uciekliśmy do ziemi tureckiej, ale dokąd wy będziecie pierzchać wraz z nami, kiedy na to przyjdzie czas? Nikt tego nie wie ani nikt o tym nie myśli²”.

Oczywiście, ważne jest, że starsze panie smażą nocą pączki dla dzieci, że na apel „Gazety” zrzucamy pieniądze na bilety do Istebnej, że Klub Łącznościowca wyłapuje z Muzułmanami wieści z Sarajewa. Jest to jednak leczenie ran, które wciąż od nowa są zadawane tam – w Jugosławii.

„Pomoc humanitarna, szlachetnie świadczona narodom Chorwacji, Bośni i Hercegowiny, Serbii i innych republik dawnej Federacji Jugosłowiańskiej – mówi Jan Paweł II – nie może zwolnić odpowiedzialnych polityków od dalszego poszukiwania rozwiązań, zdolnych położyć kres temu bezmiarowi przemocy i nienawiści, który prowadzi donikąd i którego nic nie może usprawiedliwić”³.

Luty-kwiecień 1994

² Tamże, s. 92.

³ *Ze wzgórza Watykańskiego do polityków* (Przemówienie Ojca świętego Jana Pawła II do rady ministrów Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie), „Niedziela” 1993, nr 50, s. 7.